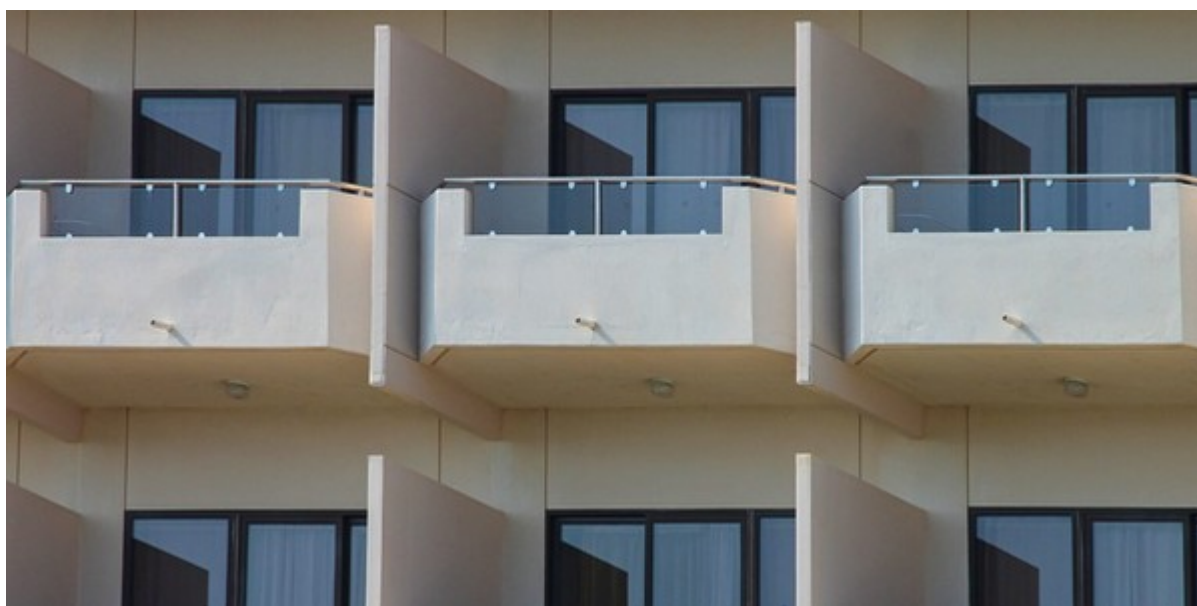


# Gdzie są małwy i dziewanny?

19 października 2022

W dzielnicy czwartej Krakowa – Prądniku Białym – znajdują się Bronowice Wielkie. Tam zaś, przy ulicy Stawowej, wznoszą się dwa niepozorne boczki. Plakietka na bramie informuje gości i przechodniów, że jest to Osiedle Młodopolskie. Jego kameralna zabudowa wydaje się tym skromniejsza, że sąsiaduje z prawdziwymi mercedesami wśród grodzonych osiedli. A tych, przy samej tylko Stawowej, jest chyba z osiem. Mamy tu, wzbudzający onieśmienie już samą nazwą, Imperial Stawowa Residence, z wielkimi przeszkleniami i modernistycznymi bryłami budynków. Siedem Życzeń – duże osiedle wyglądające jak żywcem wyjęte z Simsów. Zawsze gdy na nie patrzę, wydaje mi się, że nad głowami mieszkańców powinny pojawiać się ikonki informujące o tym, że muszą coś zjeść, albo że są zakochani. Ku mojemu zdziwieniu, nic takiego jednak nie następuje. Jest też Stawowa Przystań, czyli rząd białych, niedużych szeregowek. Mamy również Osadę Rzymską, gdzie, jak sędzę, mieszkają nieugięci Galowie, warzący magiczny napój i mężnie stawiający opór najeźdźcy.



Trzeba przyznać, w takim sąsiedztwie nasze dwa trzypiętrowe boczki wyglądają jak ubodzy krewni. Nie mamy nawet garaży

podziemnych, co już zakrawa na skandal. Tak przynajmniej sądziliśmy, nim okazało się, że sąsiedzi z Imperialu co prawda mają, ale ze względu na podmokły teren ciągle im zalewa te piękne miejsca postojowe. Cieszyć się z ich nieszczęścia byłoby małodusznie, jednak odczuliśmy pewien rodzaj ulgi.

Przy naszej ulicy nikt nie czuje się samotny. Odległości między osiedlami są tak małe, że moglibyśmy z łatwością, jak dzieci z Bullerbyn, rozciągnąć sznurki między balkonami i przesyłać sobie liściki. Tak wymienialibyśmy się informacjami na temat najmodniejszych wakacyjnych „destynacji”, omawiali modele wyciskarek wolnoobrotowych lub dyskutowali o wyższości ekspresów ciśnieniowych nad kolbowymi.

Swego rodzaju architektonicznym i filozoficznym paradoksem są dzielące nas płoty. Każde osiedle ma własny płot i własną bramę, co jest w swej wymowie nieco melodramatyczne. Tak blisko, rozdzieleni na zawsze.

Płoty nad płotami i wszędzie płoty. Aby zrobić zakupy, krążę jak satelita okołoziemski w drodze do promu gwiazdowego Biedronka lub stacji kosmicznej In Post. Ciśnienie w skafandrze spada. Konstelacja dyskont już blisko. W labiryncie grodzień motam się jak księgowa w Polskim Ładzie. Gdy już dotrę do naszej lokalnej Biedy, która jest, patrząc na liczbę osiedli w okolicy, bardzo nieduża, mogę doświadczyć adekwatności potocznej nazwy tej sieci sklepów. Bywa tak, że wszystko jest gruntownie wyjedzone i mamy do czynienia z biedą w Biedzie. Wówczas slalom gigant między paletami po ostatnią kiść bananów Chiquita jest konkurencją obowiązkową. Wieczorami w sobotę przed niehandlową niedzielą, zakupy w tym miejscu z pewnością nie są dla słabych.

Nasza Biedronka jest areną zmagania nie tylko między sobą nawzajem, ale też człowieka z nim samym oraz z technologią. Gdy już zapełnisz koszyk hummusem o smaku papryki, luksusowymi bo po 1,49 zł za sztukę, bułkami z prądawnej pszenicy, oraz ravioli o smaku truflowym, które zostało z włoskiego tygodnia

i dogorywa na regale wyprzedazowym między zmywaczami do paznokci i plastikowymi klapkami na basen, wtedy należy zapłacić. Jeżeli jesteś osobą powolną i niezborną, a to się zdarza, zawsze wybierzesz kasę samoobsługową. Dlaczego? Ponieważ w zwykłej kasie pracują panie, które przerzucają towar z szybkością Neo uchylającego się przed kulami. A ty, choćby przyszło tysiąc atletów i zjadłbyś tysiąc kotletów, nie zdążysz spakować swoich łupów do torby, nim zaczniesz kasowanie osoby stojącej w kolejce za tobą. W efekcie narazisz się na co najmniej dwa karcące spojrzenia: osoby aktualnie kasowanej oraz samej kasjerki, że lelum polelum z ciebie.

Idziesz tedy do kas automatycznych. I tu dzieją się rzeczy, o których naprawdę nie śniło się nikomu. Jeśli przyjmiemy, że cała Biedronka jest jak grecki teatr antyczny, to rola chóru z pewnością należy do tych przebiegłych maszyn. W odstępach mniej więcej trzysekundowych odzywają się, jakby odpowiadając sobie nawzajem bardziej niż kierując swe komunikaty do nas – ludzi. Potrzebne informacje! – woła jedna. Wyjmij produkt ze strefy pakowania! – wtóruje jej druga. Potrzebne zatwierdzenie! – odzywa się od razu trzecia. Pik, pik, pik – monotony dźwięk skanowania towarów nakłada się na dziarski kobiecy głos, którym wszystkie władają. Potrzebne informacje! Ta komenda dominuje i trudno oprzeć się wrażeniu, że choć może informacji mamy wszyscy aż w nadmiarze, to zazwyczaj nie tych i nie wtedy, gdy jest to niezbędne.

W naszym mikrokosmosie nic do siebie nie pasuje. Każde osiedle zostało wzniesione na własną modłę. Każde jest oddzielnym bytem, rządzącym się własnymi prawami.

Sensowność istnienia ogrodzenia wokół naszej posesji zakwestionowano tylko raz. Okazało się, że osoby w kryzysie bezdomności zaczają się na nasze śmieci i podważają skobelek w furtce, uszkadzając go, by dostać się do wiaty śmietnikowej. Z tego powodu ciągle wymieniamy go na nowy, ale i tak wiecznie jest uszkodzony, a śmieci wiecznie są przegrzebane. Ktoś z sąsiadów poruszył ten temat, lecz szybko podniesiono

kontrargumenty. Przed kim lub czym się chronimy? Nie wiadomo. Podobno jednak w Imperialu ktoś niedawno ukradł rower i, co zmroziło nas wszystkich, jakaś tajemnicza postać w kapturze obserwowała mieszkania. Wychodzi więc na to, że strzeżemy, za pomocą biednego skobelka, który można podważyć scyzorykiem, swych, na wysoki procent zakupionych, mebli od stolarza oraz wielkich jak pół świata telewizorów przed zakapturzoną grozą. Niech i tak będzie.

W przypadku naszych Bronowic im dalej w las, tym wcale nie jest ciemniej. Przeciwnie. Jakieś dwie minuty drogi dla pięknego SUV-a, a 10 minut dla niezmotoryzowanej lebiegi, jaką jestem, mieści się Galeria Bronowice, potocznie zwana po prostu Brono. Jej wielobarwna elewacja mieni się kolorami. Jest niczym wesołe miasteczko na psychodelikach skrzyżowane z obrazem Beksińskiego. W ten sposób kusi, by zajrzeć do środka. Czegóż tam nie ma? Już mówię. Nie ma Zary, na co wszyscy solidarnie narzekają. Jest za to większość innych sieciówek, pralnia chemiczna, Empik, apteka, małe kino oraz ogromnych rozmiarów Auchan, po którym, zwłaszcza jak się jest nowym na dzielnicy, krąży się jak Don Kichot z La Manchy, ponieważ, z nieznanых przyczyn, ostatnio usunięto wszystkie podwieszane pod sufitem tabliczki z opisem regałów. W Brono działa też klub fitness i siłownia, gdzie jest cała na różowo „strefa kobiet” oraz gdzie odbywają się najlepsze zajęcia z zumby w całym Krakowie.

W sąsiedztwie Galerii znajdują się też dwa markety budowlane: Obi oraz Castorama. A to nie koniec. Nasza okolica jest też uświetniona przybytkiem unikatowym na skalę miasta. Ta mekka wielbicieli mebli do samodzielnego złożenia, fanatyków stolików Lack i regałów Billy przyciąga ludzi z całego Krakowa i okolic. Do Ikei peregrynują wszyscy. A już koniecznie świeżo zakredytowane pary, chcące swoje nowo zakupione M ozdobić perłami szwedzkiego dizajnu. Jesteśmy więc tu, na Bronowicach, umiejscowieni strategicznie pod względem aprowizacji spożywczo-meblowej.

W temacie punktów handlowych trzeba wspomnieć jeszcze jedną miejscówkę. Jak sobota, to wiadomo co. A w zasadzie wiadomo gdzie. Tylko do Lidla, do Lidla. Pobliski market tej sieci mieści się przy nieodległym od nas Rondzie Ofiar Katynia. Okolice ronda wygląda równie optymistycznie, co jego nazwa. Do tego jest jak wyjęta z głębokich lat 90. Szwarc, mydło i powidło. Wszystkiego jest nadmiar i nic do niczego nie przystaje. Tu spory hotel, obok dwa fast foody, tam pełno różnych pawilonów oraz Makro Cash – sklep, który jest pełnoprawnie duchologicznym, majaczącym w pomroce dziejów, bytem. Gdy wracam obładowana zakupami jak wielbłąd w karawanie, mijam też zawsze postój tirów oraz przylegającą do niego przedpotopową stację benzynową. Mogłaby ona zagrać w filmie, którego akcja dzieje się w przydrożnym barze, zapomnianym przez Boga i ludzi, gdzieś na pustyni w USA. Brakuje tylko miotanych wiatrem kul z gałęzi i kurzu. Reszta się zgadza.

Poruszanie się pieszo po naszej ulicy to sprawa wysoce ryzykowna. Zwłaszcza na przednówku, gdy topniejący śnieg odsłania skalę niesprzątania mieszkańców po ich golden retrieverach. Chociaż i w pełni lata zdarza się, że na chodniku można poczuć się jak saper na polu minowym. Jednak wtedy łatwiej jest przejść przez nie bez szwanku, bo zagrożenie jest lepiej widoczne. Nie na całej długości Stawowej jest chodnik. Gdy pójdziemy w stronę ulicy Ojcowskiej, trzeba spory kawałek dreptać poboczem. Warto jednak się wybrać. Bo jeżeli ktoś zastanawia się, gdzież na Bronowicach są malwy i dziewanny, to właśnie tam. W pewnym momencie nowoczesna, turbo ściśnięta, zabudowa deweloperska kończy się. Zaczynają się stare domki jednorodzinne z ogródkami. Przydrożne kapliczki i stragany warzywnicze. Są nawet gdzieś tam najprawdziwsze bronowickie chaty. Cisza i spokój. Nie ma symultanicznie otwierających i zamykających się bram, kursujących tam i z powrotem kurierów z Glovo i DHL-u oraz spacerujących gęsiego niań i babć z dziećmi w wózkach. Ruchu i zamętu nowych osiedli, który wzmaga się jak

przyptyw na morzu rano i popołudniu, gdy mieszkańcy wychodzą i wracają ze swych prac. Tu tempo zwalnia. Wdech i wydech. Jak cofanie się w czasie o nie wiadomo ile lat.

Najbardziej mi smutno, gdy patrzę na te nieliczne domy, które tu i ówdzie ostały się z deweloperskiej pożogi. Otoczone wysokimi blokami wydają się z jednej strony nie na miejscu, samotne, reprezentujące ginący świat. Z drugiej, są płynnym przejściem od starego, tego, co było tu „od zawsze”, do nowego, które przyszło kilka lat temu. Synkretyzm ten jest z jednej strony spokojny i harmonijny. Koegzystencja dwóch porządków przebiega sprawnie. W zasadzie, jak to w Krakowie. Siedzimy i nic się nie dzieje. Jednak walka trwa. I wiadomo, że kwiaty i chaty jej nie wygrywają.

Autorstwo: Natalia Bała

Zdjęcie: [Manfred Richter](#) (CC0)

Źródło: [NowyObywatel.pl](#)